ROZMAITOŚCI.

Dnia 20 listopada, Ner 47. roku 1847.

CIERPIENIA POETY.

Dnia 30 listopada 1772 r. przedstawiano w »Teatrze francuzkim« w Paryżu komedyję Moliera »Chory z urojenia« i trajedyję Tomasza Corneilla, brata Piotra Corneilla, »Hrabia Essex.« Cały teatr był napełniony. Kilka tylko lóż nie było zajętych. Ale zato tłum widzów rozpiérał się w parterze, i to, jak łatwo pojąć, nie tyle dla trajedyi młodszego Corneille'a, ile dla komedyi Moliera.

W sali panował ów ruch i gwar zwyczajny, który dopiéro za podniesieniem zasłony zwykle się ucisza. Za jednym razem cała uwaga publiczności zwrócił się na młodego człowieka, który wszedłszy drzwiami dla orkiestry przeznaczonémi; głosem potężniejszym nad całą wrzawę zgromadzenia, do publiczności zawołał:

»Mości panowie! Proszę uciszyć się na chwilę.«

Widzowie, którym wszelkie podobne epizody pomiędzy publicznością milsze są niż odegrane na scenie; uciszyli się natychmiast, a tysiące lorynetek skierowały się ku mowcy.

»Mości panowie!« zawołał tenże spieszno głosem donośnym do parteru. »Nazywam się François Billard, jestem rodem z Nancy. Mój ojciec był jednym z najznakomitszych mieszczan tamecznych. Ja piastowałem urząd sekretarza tajnego — proszę nie tłumaczyć sobie na złe tego wyrazu: nie pisałem nic tajnie, czegobym się jawnie miał wstydzić — otoż jak mówię, byłem sekretarzem tajnym u miłościwego króla polskiego Stanisława Leszczyńskiego, który jak panowie wiécie, w skutek pokoju wiédeńskiego, którego bynajmniéj nie pochwalam, rezydował w mojém rodzinném mieście, a był teściem naszego ukochanego Ludwika. Niech żyje król! To jest zięć, bo teść niestety już umarł. A jakąż on śmiercią umarł! Ach, śmiercią straszną! Wystawcie sobie panowie: Król Stanisław stoi u kominka i grzeje się; płomień ima szlafrok jego, ogarnia go wokoło, a nieszczęśliwy, musi umiérać na spaleniznę! O, czemuż nie byłem w owę chwilę obecnym, byłbym łzami mojémi ogień ugasił!«

To mówiąc rozszlochał się mowca tak mocno, że go w całéj sali słyszano; wyciągnął chustkę z kieszeni, i twarz sobie zakrył.

»Cóż daléj?« — ozwał się jeden głos.

»Do rzeczy!« — zawołał drugi.

»Rzecz tak się ma:« — rzekł mowca daléj— »Po śmierci mego koronnego protektora i dobrodzieja, zostałem poborcą podatkowym....«

»Poborcą!« — zawołał ktoś — »czyż to także do rzeczy należy?«

»Nieinaczéj. O ile że urząd poborcy podatkowego dozwalał mi dość wolnego czasu do zatrudniania się poezyją. Owocem tych chwil poetycznych, jest komedyja w pięciu aktach, wiérszem; tak tak, wiérszem, moi panowie, pod napisem »Zwodziciel.«

»Piękny napis!« ozwało się kilka głosów.

»Czy się panom podoba? Znajdujecie go panowie godnym wawrzynu?«

»Ale kogoż on zwodzi?«

»Chwilę cierpliwości, moi panowie!«— przejął poeta jeszcze donośniejszym głosem. »Skończywszy moję komedyję, dzieło wielu bezsennych nocy i chwil dziennych, w których nie musiałem zajmować się poborem podatków — cóż uczyniłem?«

»No? I cóż takiego?«

»Oto głuchy na prośby mojéj rodziny, napisałem testament. Przy najpiérwszéj sposobności, która mi się w postaci niebardzo elastycznego dyližansu nástręczyła, udałem się do Paryža, aby aktorom króla jegomości — mówię o zięciu, moi panowie! — sztukę moję odczytać. Moi panowie! Mam dowody tego, co powiedziałem: moję metrykę, dekret na poborcę podatkowego, i rękopism komedyi mojéj.«

Tu François Billard zanurzył szybko rękę w głąb kieszeni, i wyciągnął ztamtąd ogromny plik papiérów, który wzniósł w górę, jak buławę marszałkowską.

»Moi panowie!« — mówił daléj uzbrojony rękopismem poeta — »Nie macie państwo wyobrażenia o przykrościach, kłopotach, upokorzeniach, z jakiémi walczyć musiałem, zanim tych wielkich i możnych panów, zwanych aktorami króla jegomości, do wysłuchania mojéj komedyi przywiodłem. Zdaje się, jakby ci panowie chcieli mścić się na poecie za te psyki i gwizdania, jakiémi wy panowie na parterze, prześladujecie ich w imię sprawiedliwości. Po ośmnastu miesiącach niewysłowionych trudów, które już ze sto razy przywodziły mię na pokuszenie rzucić mój rękopism w płomienie, a samemu skoczyć w wodę; po ośmnastu mówię miesiącach, których dzień każdy był dostatecznym, aby ladajaką głowę okryć siwizną; poszczęściło mi się nareszcie zgromadzić dzisiejszego poranku wydział artystów do odczytania mojéj komedyi. Posłuchajcież, jak sobie tam zemną postąpiono! Serceby mi pękło, oczyby mi od łez ociemniały, gdybym miał opisywać, jak nieprzebrany róg obfitości najsroższych bolów, ten odczyt na mnie rozsypał! Jeden zasnął, i chrapał równie nieprzyzwoicie jak nieestetycznie, nim jeszcze czytać zacząłem! Drugi, oparłszy nogi o komin, grzał się, jakby mojemu utworowi na ogniu zbywało, i od początku aż do końca plecyma się na mnie patrzył! Damy chichotały się, krzywiły, i szeptały sobie nieustannie do ucha słowa, których przed panami powtarzać nie śmiém, bo ich nie rozumiałem. Pan Lekain bawił się ustawicznie z młodsza panną Sainval, a pan Brizard przechadzał się poza mojém krzesłem tam i sam owym potężnym traicznym krokiem, jakim królów odgrywa. Oburzony obróciłem się kilkokrotnie ku niemu. A wiecież państwo, co mi pan Brizard naówczas raz poraz odpowiadał? — Tu mowca przerwał sobie na chwilę dla sprawienia tém uroczystszego wrażenia, przycisnął rękopism do piersi, jak przyciska kochający ojciec swego pierworodnego syna, który imię jego ma podać potomności, i rzekł:

»Pan Brizard odpowiadał mi zawsze: Pan jesteś poborcą podatkowym? Winszuję panu!— Za trzecim razem nie mogłem już wytrzymać, i zapytałem go z groźną miną: Panie Brizard, co pan pod tym poborcą podatkowym rozumiesz? — Nic, panie poborco podatkowy, jak tylko, że pan swoją komedyją należne poezyi cło opłaciłeś. — Panna Sainval przyklasnęła uradowana, wołając: Oto, panie poborco podatkowy, najlepszy dowcip w całéj pańskiéj komedyi! — Pozwólcie mi panowie rzucić zasłonę na resztę gorszących okoliczności tego odczytu. Zakończył on się jednogłośném odrzuceniem mojéj komedyi! A przecież — przebaczcie mi panowie tę anti-krytykę — przecież najzacniejsi obywatele miasta Nancy, uznali komedyję moją godną wawrzynu. Pytam więc, czy słusznie, czy sprawiedliwie, czy zgodnie z ludzkiémi i bozkiémi ustawy, aby kilka kapryśnych istot, które my poeci ożywczém nadymamy tchnieniem, miało władzę stanowienia w jednéj chwili o losie, o przyszłości dzieła lat cztérech? Nie liczę w to bynajmniéj ośmnastu miesięcy, w których nad przysposobieniem odczytu pracowałem. Każdy przecież wyrok przypuszcza odwołanie się do wyższego trybunału; miałżeby tyl-

ko ten sąd ostateczny, stanowiący o życiu lub śmierci poety; być nieomylnym i nie do obalenia? Nie, moi panowie! Jest jeszcze wyższy trybunał, jest jeszcze parter, przed którym drżą nawet aktorowie królewscy. A ten parter, w swojém wrodzoném, nieprzekupném uczuciu sprawiedliwości, poda dłoń pomocną nieszczęśliwemu poecie, przekona aktorów królewskich, iż oni nie są jedynymi panami mojego losu, mojéj przyszłości!«

To mówiąc stał François Billard jak ów prorok natchniony, wyciągnąwszy rękę ze zwiniętym rękopismem rozkazująco naprzód. Gdyby nie to, że był pieszo, zdumiona potomność mogłaby go była miéć za pierwotwór kamiennego komandora w Don Żuanie. Byłato komedyja w komedyi, którą łatwo unosząca się publiczność francuzka, z entuzyjazmem przyjęła. Huczne oklaski zagrzmiały po całéj sali. Tysiąc głosów krzyknęło *bravo!* uciśnionéj niewinności poetycznéj, która tu w autorze »Zwodziciela« uosobnioną się okazała. Wymowa poborcy podatkowego miała przy wszelkiéj dziwaczności coś oryginalnego w sobie, a wiadomą jest rzeczą, jak pochopnym bywa charakter francuzki do wielbienia każdéj oryginalności, bądźto w dobrém bądź w złém znaczeniu. Bawiło to publiczność, iż w ten sposób zabrała znajomość z poetą dramatycznym, a przytém usłyszała po raz piérwszy o samowolności, jakiéj wydział »Teatru francuzkiego« przeciw utworom nieznanych pisarzy się dopuszczał.

»Moi panowie!« — ozwał się znowuż autor »Zwodziciela« — »tysiączne dzięki za tysiączne pochwały z ust waszych. Ożywiacie mię panowie odwagą, jakiéj wymaga prośba, którą wam chcę przedłożyć. Posłuchajcież: Hrabia Essex jest szacowną ale nudną trajedyją; ja zaś ofiaruję się wygłosić wam dwunastą rozmaitémi tonami, jedyny wiérsz téj trajedyi, który jest godzien waszéj pochwały, ten wiérsz sławny:

Występek hańbi, nie topor katowski!

Prócz tego wiérsza, nie masz zresztą w całym hrabi Essex ani jednego włoska oryginalnego. Dla tego ważę się uczynić następny wniosek: Nakażcie milczenie aktorom, a pozwólcie natomiast przeczytać sobie moję komedyję. Potém sami wyrzękniecie, czy ona istotnie jest tak złą, jak aktorowie ją uznali; a jeźli wyrok wasz, moi panowie, wypadnie dla mnie pomyślnie; tedy parter francuzki ma jeszcze dzięki Bogu dość władzy aby zniewolił aktorów do przedstawienia mojego Zwodziciela!«

Niezwyczajność tego wniosku ujęła całą publiczność. Zagrzmiał powtórny oklask, a ze wszystkich zakątów sali dało się słyszéć:

»Niech czyta! niech czyta!«

Przyrządzono poecie miejsce w orkiestrze, usadowiono go jaknajdogodniéj, i już François Billard miał rozwiązać z tryjumfującą miną sznurek owinięty wokoło rękopismu, gdy naraz obojémi drzwiami w orkiestrze, weszły straże, a ich dowódzca, wprost ku autorowi »Zwodziciela« postąpiwszy, témi słowy doń przemówił:

»Dajesz pan dowody niezwyczajnéj wymowy. Szkoda tylko, żeś pan tak niestosowne ku temu miejsce obrał.«

»Czemu niestosowne? Wszak publiczność przystaje....«

»Pozwól mi pan skończyć. I jam też tak długo mówić panu pozwolił, aby tymczasem liczniejszą straż przywołać. Gdyż wyznaję, żem się w istocie potęgi wymowy pana lękał. Pozwoliłeś pan sobie przemawiać w sprawie swojéj komedyi; pozwólże mi teraz przemówić w sprawie publiczności i porządku publicznego. Widzowie zgromadzili się tu na przedstawienie trajedyi, nie zaś dla słuchania pańskiéj sztuki. Bądź pan więc łaskaw udać się za mną.«

»Mój panie« — odrzekł François Billard. — »Obchodzisz się ze mną grzeczniéj niż aktorowie króla jegomości, i byłbym uszczęśliwionym, gdybym pana pomiędzy moich sędziów mógł policzyć. Proszę, usiądź pan przymnie — ci panowie posuną się cokolwiek. I pozwól mi rozpocząć odczyt mojego Zwodziciela.«

„Mój panie, ubolewem mocno, iż obowiązek mój sprzeciwia się przyjemności słuchania pańskiéj komedyi, i może już w téj chwili naganę na siebie ściągam, że tak długo wymowie pańskiéj folguję. Proszę więc nawzajem nie zmuszać mię do ostateczności.”

”Do jakiéj ostateczności? Mój panie, przecież pan nie będziesz się ważył targnąć się na moję osobę...”

”I owszem; jeźli pan głosu rozsądku nie usłuchasz.”

„Poeta, ma głosu rozsądku usłuchać! Mój panie, jestem królewskim poborcą podatkowym, a dawniej byłem....”

„Po raz ostatni: Proszę za mną!”

„Ruszaj pan sobie do diabła! Czyś pan nie słyszał, że publiczność chce słyszéć moję komedyję, a publiczność ma przecież głos i miejsce w teatrze.”

„A ja mam straż, mój panie!”

Parter widząc swego poetę w niebezpieczeństwie pójścia do kozy, przyspieszył mu w pomoc okrzykiem:

”Precz ze strażą! Precz z oficerem! Niech czyta! Niech czyta!

”A co, nie słyszysz pan” — ozwał się ośmielony poeta — „Precz ode mnie!”

„Tak precz!” krzyknął oficer, biorąc poetę za kołnierz. „W imieniu króla!”

Na znak dowódzcy, pochwycili żołnierze krnąbrnego literata, który przemocą z sali pierwéj wyprowadzonym został, nim jeszcze parter czynnie w pomoc mu zdążyć zdołał.

Spodziewano się, że powstałe tak zamieszanie uspokoi się za rozpoczęciem przedstawienia, i podniesiono zasłonę dla odegrania hrabiego Essex. Ale zbuntowana publiczność teatralna nie da się częstokroć uśmiérzyć łatwiéj jak naród powstający; dziś nawet ów sławny wiérsz trajedyi, wygłoszony niedawno przez poetę, bez oklasków przeminął. Byłoto ostatnie przedstawienie hrabiego Essex; spadająca zasłona pokryła na zawsze skrzepłe zwłoki, którym teatralna biblijoteka musiała być grobem, bez zmartwychwstania.

Przyaresztowany autor bronił się wszelkiémi siłami przeciw zbrojnym nieprzyjaciołom; miotał się i tłukł pięściami na wszystkie strony jak szalony.

„Do wszystkich czartów, tego już nadto!” ofuknął go rozgniewany oficer — „strzeż się pan, bo tuż obok mego odwachu płynie Sekwana”

Zagrożona kuracyja wodna, która wówczas nie była jeszcze tak w modzie jak dzisiaj, ostudziła przecież cokolwiek zapał przyaresztowanego poborcy podatkowego. Być może, iż sobie w duchu powiedział:

„Jeźli cię w rzékę wrzucą, tedy nie ty sam, lecz i twój rękopism, twój Zwodziciel, jest w niebezpieczeństwie zatonięcia — a z tego poetycznego potopu, żadna arka Noego dla potomności go nie zachowa!”

Uznojony, bez sił prawie, padł François Billard na polowe łóżko w domu straży. Jednakże po kilku minutach wypoczynku, przyszła mu do głowy myśl szczęśliwa, zrobić z polowego łoża, pole popisu i poetycznéj sławy. Podniósł się, usiadł, rozczesał sobie zmierzwione włosy palcami, odkaszlnął i zaczął:

„Panie oficerze! Żałuję mocno, żem się panu zrazu opiérał. Wszakże wybaczysz pan mojéj porywczości, zważywszy, jak radosną miałem nadzieję dostąpienia ze strony parteru téj sprawiedliwości, jakiéj mi aktorowie królewscy niegodziwie odmówili. Wyobraź pan sobie okropne położenie poety, który ma w kieszeni swój rękopism, a nié ma żadnéj nadziei do jego przedstawienia. Panie oficerze, jestto mniéj więcéj to samo, jakgdybyś miał nadzieję, ba co mówię, gdybyś miał pewność zwycięztwa, a daremnie na rozkaz do boju czekał. Gdybyś pan znał moję komedyję, pewniebyś pożałował, żeś mi przeszkodził odczytać ją publiczności!”— Tu strumień wymowy poety zatamował się na chwilę, aby tém bystrzéj znowu zaszumiał. — „I nie pojmuję wcale, dla czegobyś pan nie miał znać méj komedyi? Czy może dla tego, żeś mię przyaresztował? Nie, zacny wojowniku; spokojniéj teraz tę rzecz rozważam. Zrzekam się zemsty, a że dom straży może być równie jak parter miejscem dobrego smaku i znawstwa, przeto — pocoż napróżno czas trwonić? Panie oficerze! Siadaj i słuchaj. Bądź z twoimi żołnierzami sędzią między mną a aktorami królewskimi. Proszę.”

„Mój panie!” — przejął oficer — „nie jestem znawcą; a co do moich ludzi, ci....”

„Są to mężowie z ludu” — ozwał się François Billard patetycznie — „a głos ludu, jest głosem Boga!”

To mówiąc, rozwinął spieszno manuskrypt, a ciekawi żołnierze kołem go otoczyli, i po raz trzeci zabrzmiało uroczyście z ust poety:

„Słuchajcie panowie!«

W téj ważnéj chwili wszedł inspektor policyi, i powitał autora zapytaniem:

„Czy pan-to jesteś sprawcą zamieszania w »Teatrze francuzkim?”

„Jeźli pan przez to rozumiész...”

„Pytam, czy pan-to chciałeś swoję sztukę odczytywać w teatrze?”

„A! rozumiem; pan masz zapewne ochotę posłuchać jéj? Właśnie zaczynam czytać.”

„Więc z pańskiéj-to winy publiczność wszystkich aktorów dziś wygwizduje?”

„O, zacny parterze!” zawołał poeta w uniesieniu — „Mścisz się za mnie!”

»Publiczność nie dopuszcza aktórów do słowa, i domaga się koniecznie odczytu pańskiéj komedyi.»

„Jestem gotów zadośćuczynić życzeniom publiczności »

»Pójdź pan ze mną.»

»Dokąd? Czy do teatru?»

Inspektor policyi nic na to nie odpowiedział, tylko wyprowadziwszy poetę, kazał mu wsiąść do powozu, który czekał na dworze. W najmocniejszém przekonaniu, iż ma do teatru jechać, nie czynił François Billard żadnych trudności, i pocieszał inspektora w drodze tém zapewnieniem, iż zamieszanie w teatrze natychmiast się uspokoi, skoro on z manuskryptem w ręku przed zbuntowaną publicznością stanie. Towarzysz poety zachowywał chłodne milczenie.

„Już on się zmiękczy» — pomyślał sobie poeta, rozkoszujący w przeczuciu swego tryjumfu— »gdy moję komedyję usłyszy.»

Powóz zatrzymał się, François Billard wysiadł wesoło. Lecz co za okropne spotkało go rozczarowanie, gdy w wcale obcéj ulicy się obaczył.

»Mój panie! Wszak to nie teatr.»

„Nie» — odrzekł inspektor policyjny ozięble.

„Dokądże mię pan prowadzisz?»

»Przedewszystkiém do mojego mieszkania. Proszę, idź pan naprzód.»

„To podstęp! To zasadzka! To niegodziwa zdrada! Zważ pan, że parter, że piérwsze osoby narodu, czekają na mnie i na moję komedyję. Ostrzegam pana! Rozruch się wzmoże — rewolucyja powstanie — tylko moja komedyja może zakląć tę burzę. Pozwól mi ją pan publiczności przeczytać, albo za nic nie ręczę.»

„Ja ręcze za wszystko!» — rzekł inspektor policyjny, otwiérając drzwi aresztantowi. „I daję panu tę przyjacielską radę, abyś samowolnie sprawy swéj nie pogorszał,

„Pogorszał!»— krzyknął poeta tak mocnym głosem, że kilka głów do okien sąsiednich zwabił, gdyż mimo dwukrotne zaprosiny dotrzymywał poeta ciągle jeszcze placu na dworze. »Możecie mi życie odebrać, ale mojéj komedyi, pierworodnego płodu méj Muzy, nie zabijecie, Herody!»

»Naprzód! W imię króla!» — nalegał nań inspektor.

„A więc i jego król. mość wié o mojéj komedyi. Ha, teraz pojmuję wszystko! Komedyja moja nazywa się „Zwodziciel», a Ludwik nie chce być przedstawionym na scenie...»

»Po raz ostatni: wejdź pan!»

„Nie!» wołał poeta — »Wszak my nie w Turcyi! To Paryż, to Francyja! Patrz pan, tam już z okien wyglądają głowy!» — I kłaniając się tym głowom swego narodu, zagrzmiał oratorycznym głosem: „Narodzie! Francuzi!»

Wtém uczuł w plecy popchnięcie, jakby żelazną obrączką. Przerwał więc zaczętą mowę, i obróciwszy się, spotkał się z lufą wymierzonego ku sobie pistoletu. Skoro poeta »Zwodziciela» to narzędzie mordercze zoczył; już był jednym susem za progiem drzwi otwartych; bo umiérać nie przeczytawszy publiczności swego utworu, to było dla niego największą zbrodnią; tu— zachować sobie życie, kazał mu najświętszy obowiązek.

„Jesteś pan moim gościem, jeżli się spokojnie sprawować będziesz» — rzekł w pokoju inspektor policyjny do przyaresztowanego, chowając pistolet pod lód swojéj grzeczności. »Przez czas mojéj niebytności, będzie pana bawiła moja gospodyni. Ja spieszę zasięgnąć dalszych rozporządzeń co do pańskiéj osoby. Za godzinę powrócę. Żanetto, polecam ci tego pana.»

Żanetta, gospodyni pana inspektora policyjnego, byłato podsadkowata, krępa Normandka z pyzatémi rumianémi, jak księżyc na pełni policzkami, mająca potężną jak u rzeźnika rękę, która w pięść ścisnięta, mogła każdego mimowolnie do uszanowania zniewolić.

„Nie wypuść go», — poszepnął jéj inspektor do ucha

„Czy tylko nie jest niebezpiecznym?»

»Bynajmniéj! Podskoczył na sążeń w górę, gdym mu błysnął pistoletem.»

»Wszakże on nie nabity!» zaryhotała opasła Normandka, podczas gdy inspektor wyszedł z pokoju.

Nieszczęśliwy poeta rzucił się na krzesło, i w niemém obłąkaniu wlepił wzrok w jedno miejsce. Śmiéch jego dozorczyni ocucił go nareszcie z letargu.

»Miły Boże! Takby się byli śmieli widzowie, słuchacze mojéj komedyi»— pomyślał sobie z boleścią.

Cicha rozpacz młodego aresztanta pobudziła Normandkę, jak się zdało, do litości. Zbliżyła się ku niemu i zapytała:

„Cożešto pan zbroił?»

»Zbroił!? Zbroił, powiadasz pani?»

„No, chciałam powiedzieć, co pan zrobiłeś?»

»Co zrobiłem? Zrobiłem arcydzieło, które ludzie chcą w zarodzie przytłumić, ponieważ go się lękają. Napisałem komedyję, komedyję w pięciu aktach i wiérszem!»

»Coż to jest?» zapytała Normandka w poetycznéj niewinności swéj duszy.

„Jako? pani nie wiesz, co jest komedyja?»

Żanetta potrząsła głową.

„Co za szczęśliwy przypadek! Oto znajduję przecież prawdziwą naiwność zdania! — Zaraz, zaraz kochana panienko, dowiesz się, co to jest komedyja w pięciu aktach i wiérszem. Żywo, żywo, daj

świécę i śklankę wody z cukrem. Wprowadzę cię niewinna dziewico do świątyni poezyi.”

Gdy inspektor policyjny do domu wrócił, usłyszał już zdaleka dramatyczny głos swego aresztanta, a za wnijściem do pokoju, ujrzał autora »Zwodziciela” zajętego gorliwém odczytywaniem swojéj komedyi, w któréj jednakże Normandka tak mało znalazła przyjemności, iż sobie w ciągu odczytu, na piękne zasnęła.

„Nie ma rady z tym waryjatem!” rzekł do siebie inspektor.

»Pst! Nieprzerywaj nam pan” — zawołał poeta głosem uroczystym, jak ów karłan, który widząc niebo otwarte, rzekł do światowego natręta: „Ustąp ztąd niepoświęcony!”

„Ale czyż pan nie widzisz, że ona spi?”

»Spi?!” zawołał rozczarowany poeta— »Ona spi! a ja dopiero drugi akt czytam. Pozwól pan abym ją przebudził, niech słucha.”

„Bądź pan łaskaw pójść za mną.

»Czy znowu? I dokądże?”

”Do powozu, który przed drzwiami czeka.”

”Mniejsza o to!” — mruknął zniechęcony poeta. „Wieź mię pan do Bastyli, do piekła! Jestem w takiém usposobieniu, iżbym Lucyperowi komedyję moję rad czytał.” I zwracając się jeszcze raz ku Normandce, zawołał: »Ocknij się zacna, niewinna duszo! Ty musisz całą moję komedyję poznać. Na piérwsze przedstawienie przyślę ci bilet bezpłatny.”

(Dokończenie nastąpi.)

Dwie drogi.

Jestto rzadkim darem niebios, umieć się samemu pocieszać. Dar ten znajdujemy częściej u szlachetnych niewiast, niż u mężczyzn, którzy w zuchwałości ulgi szukają, i wolą raczéj, gdy im jeden kwiat opadł, ściąć całe drzewo, niż na jego pozostałkach mieć zadość. Najbliższe powinowactwo z umysłem niewieścim, ma dusza artysty. Nie mowiemy tu o tém pokorném znoszeniu niedostatku, o tém bolesném cierpieniu lekceważenia, jakie równie biédnego zwolennika sztuki, jak i wielu innych udziałem bywa; mamy tu owszem na celu ową głęboką boleść wewnętrzną, która zwykle po chwilach najśmielszego uniesienia następuje, gdy nakoniec uczujemy, że wszelkie działanie nasze jest niedostateczne i bez wartości

Są bez wątpienia ludzie, u których wszystkie zdolności żadnym w zarodzie swoim nie różnią się stopniem; a gdy jedna z tychże przypadkiem się wyszczególni, i naszę uwagę zwróci; usiłujemy ją najstaranniéj pielęgnować, a późniéj powołaniem ją naszém mianujemy. Wszystkie wspomnienia lat dziecinnych zbiegają się wtedy jak promienie w ten jeden punkt światła, a światło jest przecież i ciepłém; więc w tém centralném ognisku naszego bytu musimy świécić lub spalić się koniecznie. Uznając tylko ten jedyny cel życia, mamy wszelką inną dążność za sprzeniewierzanie się naszemu powołaniu, za zgubne grzebanie niebiańskiej iskry w gnuśną ziemię. Jestto gorączka, jestto szał, jestto nienaturalny stan umysłu, który się rozczarowaniem albo istotném szaleństwem koniecznie zakończyć musi. Cóż z tego dwojga jest lepszém? Miéć szaleństwo za szczęśliwą katastrofę szału, toby znaczyło hołdować téj filozofii, która zniszczenie nad chorobę przenosi. Pozostaje więc rozczarowanie. Ale i to ma swoje niebezpieczeństwo. Spadając z nieba, tracąc swoje niebiańskie ułudzenie, nie tylko jeden ideał tracimy, lecz tracimy bardzo łatwo wiarę we wszystkie ideały. Zwłaszcza, że każdy żywy umysł czuje w sobie jakąś chętkę do przeciwieństwa. Najszlachetniejsi ludzie nie, są czasami w stanie oprzéć się nagabaniu uczynienia czegoś, wręcz siebie niegodnego. Łechce ich ironia zjawiska: gdy czysty wawrzyn wieńczy skronie opilca. Mówią w krnąbrnéj niechęci: Jeżli mam dźwigać brzemię poziomości, dozwólcież mi także i uciech poziomych. Ze wstrętem a przecież dobrowolnie zanurzają się oni w kał sprośny, i nie dziw, że tém głębiéj weń grzęzną, im dłużéj do swego eterycznego przyzwyczajeni byli żywiołu. Nikt nie ma większéj chętki ciskać kamienie na wierzcholek drzewa, jak ten, komu spadający owoc głowę uraził. Poganie plwają na swe bożyszcze, które w razie potrzeby, pomocy im nie dało. Aby zmiana najwznioślejszych i najpoziomszych uczuć, bez wszelkiego śladu przez naszę duszę przechodzić miała — to jest istném niepodobieństwem. Wzdrygamy się sami przed sobą, a ten przestrach jest piérwszym pojawem uleczenia naszego, gdyż wiedzie nas do opamiętania. I owoż gwałtowny męzki umysł staje teraz u tegoż samego kresu, dokąd miękki, »niewieści”, bez onego opłakanego błąkania się po manowcach, wcześnie już zdążył. I to właśnie jest, co tu powiedzieć chcieliśmy. Rezygnacyja poszeptuje odwróconemu od nieba umysłowi: „Obejrzyj się w około. Tysiące sił w przyrodzie zdają się bezużytecznie byt swój trwonić, a przecież nie są one bez celu. Ów potężny pień, który mógł być okrętem, a przynajmniéj masztem; pruchnieje bezkorzystnie w borze. Nigdy wędrowiec pod jego cieniem nie spoczął, nigdy gałęzie jego nie służyły za dach rodzinie ludzkiéj, ani też nigdy gorejącémi polanami nie ogrzéwał on skrzepłych od mrozu nędzarzy. Dziki tylko źwiérz może ogryzał jego korę, lub burza wściekłość swą na nim wywiérała. — Niejedna szlachetna roślina wyrasta z ziemi, niebaczny człowiek depce ją, i umiéra

na ranę, którą ona zgoić mogła. — Ileżto deszczem brzemiennych chmur przeciąga ponad spragnioną ziemią, a rozlewa błogosławieństwo swoje na jałową płaszczyznę oceanu. — Przez długie wieki spoczywała iskra gnuśnie w krzemieniu, zanim stal do życia ją ocknęła. Prapradziadowie nasi przechadzali się obojętnie pod tą gwiazdą, która późnegc ich potomka, do nowéj części świata zawiodła — Co więcéj, czyż sama najwyższa istota, z któréj łona wyszliśmy, na któréj łono znowu wrócimy, którą nawet zaprzeczając uznajemy; czyż samo bóstwo nie musi zezwolić na to, aby milijony rodu naszego nie miały o niém więcéj pojęcia, jak tylko cokolwiek jakiegoś ciemnego przeczucia? — I tyż narzekasz, że cię nadzieja zawiodła, że twoja szlachetna, godna człowieczeństwa dążność, o zewnętrzne rozbiła się przypadki? albo bez zwrócenia na się uwagi, bez wydania owocu, bez śladu przeminęła? Czyż nie pozostaje ci to uczucie i to przekonanie, iż do wielkiego celu wszystkiemi twémi siły dążyłeś? Żeś temu celowi nieskończenie wiele, bo całe swoje życie, tę kropelkę wieczności, poświęcił? Nie wzbraniaj się wyznać, że tylko twoja próżność i twój upor, nie dozwalają ci uczuć się szczęśliwym w tym szczupłym obrębie działania, które ci konieczność zakreśliła. — Tak przemawia cichy, przyjaźny głos do bolejącego umysłu. — Nuż, wy hardzi prorocy teraźniejszego świata! Dobijajcie się śmierci, my was podziwiać nie będziem!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 46ty i zawiéra: 1) Doniesienie o młócarni. (Z ryciną). 2) Fr. Wolańskiego, (członka Towarzystwa gospodarskiago). O różnych wnioskach względem przyczyny choroby kartofel, pomysł o środkach ochronnych od gnicia po wykopaniu tego ziemiopłodu, gdyby ta zaraza na przyszłość pojawić się miała, o wapnieniu przed sadzeniem. 3) O nawodnianiu łąk. (Ciąg dalazy). 4) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 5) Od komitetu nieustającego c. k. Towarzystwa gospodarskiego, nadesłana odezwa. 6) Od komitetu c. k. Towarzystwa gospodarskiego, podziękowanie. 7) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 24ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Księżniczka Mery. Wyjątek z dziennika oficera rosyjskiego w garnizonie na Kaukazie. (Ciąg dalszy). 2) Od wydawcy. 3) Rozmaitość.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* za miesiąc listopad zawiéra: 1) Wiadomość o rękopismach zawiérających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych biblijotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich, w latach 1846 i 1847, przez Aleksandra Przezdzieckiego (dalszy ciąg). 2) Dyplomata Tynieckie, przez krola Bolesława Chrobrego i jego następców, r. 992—1275 wydane, i rzut oka na akta urzędowe polskie najdawniejsze; przez W. A. Maciejowskiego. 3) Filozofija Indów; z najnowszych źródeł ułożył Michał Gliszczyński. 4) Palec boży, z familijnego podania powieść, przez Ad. Am. Kosińskiego (dokończenie). 5) Kronika literacka. 6) Rozmaitości. 7) Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych. 8) Kronika biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meterologiczne.

Najpłodniejszym autorem dramatycznym był bez wątpienia Don Lope de Vega w Hiszpanii. Ani Sofokles, który ze sto sztuk miał napisać, ani Goldoni, ani Kocebue, nie wytrzyma porównania z nim w téj mierze. Zdaje się, iż usiadłszy do pracy, zarazem układał w myśli i wykonywał na piśmie plan sztuki. Według wszelkich podań przypisują mu blizko dwa tysiące poważnych i komicznych utworów, i już w r. 1620 liczył sam Vega tyleż prac swoich, mówiąc do syna, że 900 sztuk znane są publiczności, drugich zaś 900, i jeszcze więcéj, w biórku jego spoczywa. Miał on przeszło 133.200 arkuszy zapisać i przeszło 21.300.000 rymowych i nierymowych wierszy ułożyć, za które aktorowie, jak powiadają, złotem mu płacili. Jeżeli to prawda, zkądże jego skargi i żale? Ale ważniejszą nad to rzeczą jest wewnętrzna wartość bardzo wielu tych sztuk, które dostarczyły osnowy do innych późniejszych, powszechnie sławionych utworów. I tak np. słynna »Dona Dyjana« była właściwie przez Vegę pod tytułem »Cuda pogardy — *Los milagros del Desprecio*« napisaną, a wiele jeszcze dramatów zostanie zapewne niebawem przerobionych. Gdyby Lope de Vega istotnie jakkolwiek stosowną nagrodę za swoje sztuki był pobiérał, jakżeby się musiał był wówczas zbogacić! Tymczasem rzecz miała się wcale inaczéj, gdyż zamiast bogactw, nie posiadał Vega nic więcéj jak »ubogi domek, kawał suchego chleba i ogródek«, którego kwiaty rozrywały go w troskach i nowe budziły w nim pomysły. To też nie był Vega bynajmniéj zadowolonym ze swego losu, lecz narzekał ciągle na nieprzyjaciół, podstępy, zawiść, przygany i troski, a syna swego błagał usilnie, aby uprawiał nauki bez poezyi, która bezużytecznie za naukami jak ogon u sukni się wlecze.

Drzewo Maryjańskie w Medyjolanie. W katedrze medyjolańskiej stoi przed ołtarzem najświętszéj panny olbrzymi świecznik, który rzeczywiście jest arcydziełem dawnego snycerstwa, lubo mało kto z odwidzających, uwagę na niego zwracał. Dzieło to, mające nieocenioną wartość w archeologicznym i ikonograficznym względzie; mierzy do 13 stóp wysokości i ma tę samę szerokość w ramionach. Dolna część całego kandelabru składa się ze cztérech z osobna rzezanych, najbujniejszém liściem ozdobionych płaskorzeźb, na których spoczywają cztéry idealne zwiérzęta kolosalnych rozmiarów. W środku nadzwyczajnie pięknych ozdób liściowych, jakoteż w obrębie skręconych ogonów owych cztérech zwiérząt, widać 52 małych posążków, przedstawiających jużto zdarzenia z pisma św., jużto postacie alegoryjne. Znaki zwierzyńcowe, i 34 rozmaitych zwiérząt, jakoto: lwów, wężów, małp, psów, baranów, ryb, ptaków, wreszcie 18 zwiérzęcych i ludzkich głów, uzupełniają przyozdobienie podstawy kandelabru. Na téj podstawie wznosi się osobną grupa, która sama dla siebie jest arcydziełem. Przedstawia ona Bogarodzicę, otoczoną liściem, z dzieciątkiem Jezus na kolanach. Przed dziecięciem, siedzą na koniach trzej mędrcowie ze wschodu. Wokoło stoi ośm proroków z chorągwiami, po części powiewającémi, a po części zwiniętémi. Dziwném zdarzeniem pozostał twórca tego

cudownego dzieła, na jego własne skromne żądanie niewiadomym. Żył on, jak się zdaje, w 12 lub 13 stoleciu. W obecnéj chwili znajduje się w Medyjolanie młody francuzki artysta, który z polecenia dyrektora sławnych *»Annales archéologiques«* w Paryżu, ma z najściślejszą dokładnością, i w naturalnéj wielkości odrysować wszystkie części tego arcydzieła. Najlepsi rytownicy paryzcy będą pojedyńcze części osobno na miedzi rytować, a najznakomitsi uczeni i archeologowie włoscy mają się zająć szczegółowym opisem.

Naród lękający się portretów. Malarz Rigo należał do liczby uczonych, których rzeczpospolita francuzka pamiętnéj wyprawie do Egiptu przydała. Po zajęciu Kairu przybyła do miasta karawana Nubijczyków, których naczelnikowi, przedstawiającemu wybitny typ narodowy, Rigo doradził, aby się dał portretować. Z początku wahał się Nubijczyk usłuchać prośby artysty, i nie przyzwolił na nią, aż mu dość znaczną sumę pieniędzy ofiarowano. Pierwszy szkic na płótnie mocno 'go zadowolnił; zaledwie jednak kilka pociągów pęzlem cokolwiek barwy zarysowi nadało; wydał Nubijczyk okrzyk przestrachu, i na przekor wszelkim usiłowaniom malarza w celu uspokojenia go, uciekł przerażony, wołając, iż mu głowę i połowę ciała skradziono. W kilka dni późniéj przyprowadził Rigo innego Nubijczyka do swéj pracowni, ale ten przeląkł się na widok różnych portretów taksamo jak jego naczelnik, i opowiadał swoim rodakom, iż widział u Francuza mnóstwo poodrzynanych głów i członków. Towarzysze jego zaczęli zeń żartować, i udali się sami do malarza, ale skoro portrety ujrzeli, podobnąż trwogą przerażeni, uciekli i żadnémi prośby do powrotu nakłonić się nie dali.

Dobre to były czasy, mówi jedno z pism zagranicznych, kiedy córki oberżystów nie grały na fortepianie, a ich ojcowie nie byli hydropatami; kiedy kupcy nie byli spekulantami giełdowymi, a mierni artyści nie bywali litografowani i nie lękali się wierzycieli; kiedy śpiewaczki nie dostawały wieńców i nie miały rywalek w małpach; kiedy dziéwczęta nie miały po tuzinie kochanków, ale prędko, wiernego męża; kiedy mieszczanie nie mieli letnich wil, ale w własnych domach mieszkali; kiedy artyści poważali krytykę, a młokosy recenzyi nie pisywali; kiedy klasyczne dzieła wzniecały oklaski i przynosiły doohody a dziwotwory wyśmiéwano; kiedy kobiéta nie była mężczyzną, a mężczyzna nie robił się babą; kiedy młodzież starych szanowała, a starzy nie dopuszczali się śmiészności; kiedy bale nie były tak uczęszczane, a więzienia za długi zupełnie puste; kiedy kucharki w atłasach nie chodziły, i podwójną krédą rachunków nie pisały; kiedy z łaski lekarzy potrzeba było mniéj napisów grobowych; kiedy w obywatelskich domach mniéj było luster i adamaszków, a większa obfitość pięknéj bielizny...!!

Uprawa tytoniu w Algeryi, od r. roku 1843 z szczególną starannością ze strony rządu pielęgnowana, wzmaga się nadzwyczajnie pomyślnie. Spodziéwają się nawet, iż Francyja w niezbyt długim czasie oswobodzi się tém od daniny, opłacanéj corocznie zagranicznym krajom za tytoń. Zbiór tytoniu algierskiego w r. 1846 wynosił według szacunku urzędowego około 460.000 kilogramów.

Ostrożność nie zawadzi. Pewien gospodarz wiejski zaczął już starzéć się, a dzieci ciągle nań nalegały, aby im spadek po sobie jeszcze za życia oddał, za co przyrzekli żywić go i odziéwać aż do śmierci, jakto na uczciwe i wdzięczne dzieci przystało. Ale starzec zawsze tylko potrząsał głową i ustawicznie do wiosny to odkładał. Gdy wreszcie wiosna nadeszła i wróble gnieździć się już zaczęły, ów gospodarz, wypatrzywszy jedno gniazdo, w którém już były pisklęta, wybrał je, wsadził do klatki, i wywiesił przed swojém oknem. Niezadługo starzy rodzice usłyszawszy pisk młodych wróbląt, przyleciały i zaczęły je karmić przez szczeble od klatki, okazując im wielką przytém staranność i przywiązanie. Już małym ptaszkom skrzydełka urosły, a rodzice z tąż samą karmiły je pieczołowitością. Gdy już same latać mogły, nastawił gospodarz sidła, i schwytał rodziców a wypuścił młode, które natychmiast z radością uleciały. Starym zaś, w téjże saméj klatce osadzonym, nie dał gospodarz ani jeść ani pić, spodziéwając się, że młode przylecą i z wdzięczności karmić je będą. Ale napróżno. Stare wróbliska piszczały i piszczały, a żadne z dzieci nie przyleciało, by je nakarmic i napoić; i byłyby zapewne z głodu zdechły, gdyby się ktoś inny, prócz dzieci, nad niémi nie był zlitował. Owoż stary zwołał dzieci, i opowiedziawszy im całą przygodę, wypuścił stare wróble, mówiąc do dzieci: »Jak mi połapiecie stare i młode, oddam wam natychmiast całe mienie, a wy mię do śmierci karmić będziecie.«

Jest zwyczaj u Tuńczów, iż dziéwczęta przed zamęźciem formalnie toczone bywają. W tym celu zamykają je w ciasnych komórkach, gdzie im srebrne lub złote obrączki na ręce i nogi kładą. Nieszczęśliwe jedzą wtedy najpożywniejsze potrawy dopóty, aż obrączki zupełnie do ciała nie przylegną. Jeżeli córka jest narzeczoną wdowca lub rozwodnika, natenczas kładą na nią obrączki piérwszéj żony. Jeżeli przypadkiem smukła dziewica ma być następczynią otyłéj kobiéty, tedy zdarza się, że narzeczona piérwéj zestarzeje się, nim wzorowi swojemu w tak pięknej zalecie dorówna.

Fraszki. Pewna gadatliwa pani radziła się lekarza, co ma robić, że jéj prawie wszystkie zęby ruszają się? »Mniéj mówić« — odrzekł lekarz. — Pewien nauczyciel chciał chłopca do rozmyślania sposobić, i zaczął od zapytania: »Na co masz głowę?« — Chłopiec spojrzał głupowato na niego, i zamilkł. Informator rozgniewany, powtórzył jeszcze ostrzéj pytanie: »Odpowiadaj głupcze, na co masz głowę?« Przelękniony chłopiec odrzekł: »Do czesania.« — »Jak się ma twój pan?« —zapytał pewien jegomość służącego — »Oj, nie najlepiéj.« — »Cóż mu takiego dokucza?« — »Dostał fluksyi na sumieniu« — odpowié służący.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.